

Był
sobie
wesoły
kat

Seria rozmowy z Katem

Spowiedź polskiego kata — JERZY ANDRZEJCZAK, 2018 — Polska

Dziennik kata — JOHN ELLIS, 2019 — Wielka Brytania

Doświadczenia kata — JAMES BERRY, 2019 — Wielka Brytania

Ostatni kat. Wspomnienia więziennego kata Tajlandii — CHAVORET

JARUBOON, NICOLA PIERCE, 2019 — Tajlandia

Był sobie wesoły kat — ALAN SHADRAKE, 2020 — Singapur

Czarny dziennik kata — JEAN KER — Francja

Alan Shadrake

Był
sobie
wesoły
kat

*Sprawiedliwość
Singapuru*

Wydawnictwo Aktywa Sp. z o.o.
Nowy Sącz, 2020

[Kup książkę](#)

Tytuł oryginału: *Once a Jolly Hangman*

© Copyright 2020 Wydawnictwo Aktywa Sp. z o.o.

© ALAN SHADRAKE

Przekład: GRZEGORZ KOŁODZIEJCZYK

Redakcja: JAROSŁAW LIPSKI

Korekta: ALICJA LASKOWSKA, BARTOSZ SZPOJDA

Projekt okładki: GRZEGORZ KALISIAK

Projekt typograficzny i łamanie: GRZEGORZ KALISIAK

Wszelkie prawa, również w zakresie powielania fotomechanicznego i fragmentarycznego wydruku, zastrzeżone. Żadna część niniejszej książki nie może być przetwarzana ani powielana jakąkolwiek techniką (fotokopia, mikrofilm lub inny proces) bez pisemnej zgody Wydawnictwo Aktywa Sp. z o.o.

ISBN: 978-83-954515-1-5

Wydanie pierwsze

Wydawnictwo Aktywa Sp. z o.o.

Dystrybucja: wydawnictwoaktywa.pl

[Kup książkę](#)

Spis treści

Przedmowa do wydania polskiego	• 7
Przedmowa do wydania drugiego	• 21
Słowo wstępne (Margaret John)	• 31
1. Debata o karze śmierci	• 35
2. Opowieść o dwóch katach	• 49
3. Szukając pana Singha	• 56
4. W gościnie u kata	• 63
5. Bunt na wyspie Ease	• 80
6. Wisielczy humor	• 90
7. Człowiek w tranzycie	• 96
8. Ostatnia destynacja	• 117
9. Cud prawdziwy	• 125
10. Mnie nie powiesz, bo jestem biała!	• 135
11. Dziwna para	• 153
12. Wysłać tam komandosów!	• 163
13. Martwa kobieta nadchodzi	• 178
14. Służąca, której nie odważyli się powiesić	• 187
15. Licencja na zabijanie	• 195
16. Na imię miała Angel	• 209
17. Narkotykowa socjeta, czyli garstka wybrańców	• 225
18. Prowokacja	• 240

19. Powieszony idol	• 265
20. Proszę, niech mnie nie zabijają!	• 280
21. Kobieta bez znaczenia	• 289
22. Singapurski Złoty Trójkąt	• 295
23. Dokąd zmierzasz, Singapurze?	• 318
24. Moje aresztowanie	• 330
25. Proces	• 352
26. Wyrok	• 369
27. Więzienie	• 385
 Postłowie	 • 395

Przedmowa do wydania polskiego

JERZY ANDRZEJCZAK*

Pieśń kata

Skazańców było około tysiąca. „Może więcej niż tysiąc, może mniej” — powtarza w rodzinnym gronie Darshan Singh, emerytowany, były naczelnik kat Singapuru. Nie pamięta dokładnie, ile istnień ludzkich pozbawił życia. Dawno przestał liczyć, gdzieś po pięćsetnej egzekucji. Przed wykonaniem każdego wyroku powtarzał słowa: „Wysyłam cię do lepszego miejsca” i pociągał za dźwignię, zwalniając zapadnię...

Mroczna strona człowieka

Z pochodzenia jest Malezyjczykiem. Opuścił Malezję z powodu bezrobocia. W 1955 roku w poszukiwaniu jakiegokolwiek pracy przyjechał do Singapuru. W ogłoszeniach prasowych znalazł informację, że poszukiwani są więzienni strażnicy. Chętnie podjął pracę w brytyjskiej kolonialnej służbie więziennej. W tym czasie amatorsko grał w krykieta. Jeszcze jako nastolatek zapowiadał się na świetnego zawodnika. Umiejętność uderzenia

.....
* Autor *Spowiedź polskiego kata* — Wydawnictwo Aktywa, Frampol 2018.

pałką w piłkę wykorzystywał w pracy, tak że nie trzeba było go uczyć, jak wymierzać karę chłosty. Płacono mu wtedy pięćdziesiąt centów za jedno smagnięcie.

— Tak dobrze władałem różgą — chwalił się Darshan — że zastępowałem innych strażników, a później nie miałem sił grać w krykieta.

Nikt tak jak on nie bił więźniów, nie pozostawiając przy tym żadnych śladów. Zyskał dzięki temu uznanie innych strażników.

W 1957 roku w więzieniu Changi, w którym pracował, pojawiło się ogłoszenie, że jest poszukiwany ochotnik na asystenta kata Johna Seymoura. Ostatni brytyjski kolonialny kat przeszedł na emeryturę. Kiedy nikt się nie zgłosił, kierownictwo więzienia zaczęło namawiać swoich strażników. W końcu zwrócono się do Darshana Singha. Uważano, że jest to dobry kandydat na kata, dlatego że był bezwzględny wobec więźniów i połamał na nich niejedną pałkę. Przydało się doświadczenie z krykieta.

Z wirtuozerią łąił skórę więźniów pałką, jakby w uszach słyszał doping widzów: „Mocniej, mocniej, mocniej!”. Kiedy kатовany skazaniec mdlał, wówczas Darshan wylewał na niego kubel lodowatej wody, żeby go ocucić. W krykieta grał amatorsko, za darmo. Nie zawahał się więc, gdy proponowano mu pieniądze za walenie po człowieku. Dlatego dwudziestosiemioletni wówczas adept krykieta wyraził zgodę. Skłoniła go do tego atrakcyjna perspektywa dodatkowego wynagrodzenia za egzekucje. Przez rok podstaw egzekucji uczył się, asystując przy wieszaniu. Przed podjęciem pracy podpisał zobowiązanie, że pod groźbą kary śmierci nie ujawni, czym się zajmuje. Nie zdradził tej tajemnicy nawet małżonce. Ich związek trwał zaledwie kilka lat. Gdy żona dowiedziała się, czym się zajmuje mąż, szybko go opuściła.

W 1960 roku ożenił się po raz drugi. Nie chcąc mieć problemów w drugim małżeństwie, jeszcze przed ślubem oznajmił przyszłej małżonce, że jest katem.

Oficjalnie pracował, realizując różne tajemnicze zlecenia. Z dokumentów wynikało, że przewoził więźniów z aresztów do więzień. Często wyjeżdżał w delegacje, a jeszcze częściej słyszał od żony pretensje.

— Nie lubię być sama w domu — powtarzała Dzeleha Hadzi Said, druga żona — a to zdarza się coraz częściej.

Kobieta od dnia ślubu w 1960 roku wiedziała, że z ich małżeńskiego życia musi wykreślić wszystkie piątki, każdy piątek z pięćdziesięciu dwóch tygodni rok w rok. Ile piątków, tyle tajemnic. Niewiele osób było wtajemniczonych. Tajemnice piątków jako pierwsza poznała jego małżonka.

— Wtedy mąż pełnił obowiązki kata — zdradziła Dzeleha po latach w wywiadzie wysłannikom singapurskiego tabloidu „The New Paper”.

Tego dnia wszystko odbywało się z dokładnością co do minuty. Wstawał o 4.30. Na śniadanie zjadał dwa jajka na surowo. Potem przez piętnaście minut medytował. Do pracy w więzieniu Changi wychodził o 5.30. Wracał o godzinie 23. I milczał. Żona miała zakaz zadawania pytań.

Początkujący kolekcjoner głów

Często słyszał o sobie, że jest stworzony do zabijania. Nazywano go „kolekcjonerem głów”. Pierwszym katem został w 1960 roku. Nie wymagano od niego doświadczenia zawodowego ani kwalifikacji. Jedynie gotowości do pracy, całodobowej

dyspozycyjności i braku moralnych skrupułów. Egzaminem była rozmowa z psychologiem. Było to wyczerpujące przesłuchanie w celu ustalenia, czy kandydat nie ma moralnych skrupułów, które mogłyby mu przeszkodzić w wykonywaniu egzekucji. Wówczas młody Darshan nie mógł zrozumieć, że wszyscy wokół są zwolennikami kary śmierci, ale nikt nie chce być katem.

— Rozmawiałem ze strażnikami — wspomina Darshan Singh — zwolennikami kary śmierci. Ale gdy pytałem ich, czy mnie zastąpią w założeniu pętli skazańcowi, czy nacisną przycisk zwalniający zapadnię, odmawiali. Nagle zmieniali swoje poglądy i akceptowali falę brutalności zalewającą nasze społeczeństwo.

Pierwszy wyrok, przy którym asystował? Rok 1959. Dostał wtedy dwadzieścia dwa dolary. Niewiele szczegółów pamięta. Zapomniał o następnych egzekucjach, tylu było tych skazańców. Egzekucja trwała dziesięć, dwadzieścia minut i przygotowywał się do następnej. Niewiele było piątków bez egzekucji, przeważnie kilka. W pamięci wyryła mu się egzekucja mordercy Sunny'ego Angi w 1967 roku oraz osiemnastu więźniów, którzy w 1963 roku wszczęli bunt w Pulau Senang. Zabili wówczas czterech strażników.

Darshan Singh powiesił jednego dnia osiemnastu skazańców, po trzech naraz! Stał się jednym z rekordzistów w historii. Wśród katów wydajnością zasłynął Albert Pierrepoint, który w 1950 roku wieszał niemieckich zbrodniarzy. W ciągu doby zabił dwudziestu siedmiu skazańców. Johan Woods, Amerykanin, nazywany katem stulecia, powiesił dziesięciu dygnitarzy Trzeciej Rzeszy w sto trzy minuty. Singh powiesił siedmiu skazańców w ciągu półtorej godziny. Mężczyzn skazano za rabunek

sztab złota, podczas którego zamordowano biznesmena i jego dwóch pracowników.

Singh dumny był z tej pracy. Gdy pojawiał się w więzieniu, zapadała cisza. Każdy z więźniów starał się unikać jego wzroku. Potrafił być twardy i groźny. Przy każdej okazji powtarzał, że potrzebna jest kara śmierci, bo przestępczość wymyka się ludzkości spod kontroli. Najlepszym lekarstwem na przemoc jest przemoc. Przekonywał, że im bardziej ludzie czują się zagrożeni, tym mniej jest poczucia bezpieczeństwa i tym bardziej wzrasta społeczna surowość. Był zwolennikiem społecznego rygoryzmu i nie miał nic przeciwko karom cielesnym. Dla niego kara miała odstraszać, eliminować skutecznie morderców, być uzasadnioną społecznie sprawiedliwą zemstą. Kat Darshan Singh nie znosił pytań: Czy ludzkie życie i zdrowie nie jest dla pana żadną wartością? Kiedy zostanie przerwana tradycja zamęczenia i mordowania ludzi? Czy człowiek jest mordercą z natury?

Często w rozmowach ze znajomymi strażnikami więziennymi dzielił się swoją wiedzą. Przekonywał, że już starożytni uważali tortury za najlepszy sposób na wyciąganie zeznań od podejrzanych. Przywoływał postać cesarza Kaliguli, który nazywał Rzym „miastem głów czekających na ścięcie”. Znał sposoby rzymskich katów, którzy wbijali skazańców na pal, a ofiarami byli pierwsi chrześcijanie. Wspominał o Jeanie-Bedelu Bokassie, dożywotnim prezydencie Republiki Środkowoafrykańskiej, jednym z najstraszliwszych dyktatorów na Czarnym Lądzie. Skazańców rzucał na pożarcie swoim krokodylom hodowanym w specjalnych basenach w rezydencji w Kango. Krwiożercze gady zawsze były głodne...

Aktor z azjatyckiego teatru śmierci

Darshan Singh już w dzieciństwie uwielbiał słuchać opowieści o ludzkim okrucieństwie. To od dziadka usłyszał, jak w przeszłości zabijano skazańców. Największe wrażenie wywarła na nim opowieść ukochanego dziadka o metodzie egzekucji polegającej na zadeptywaniu skazańca przez słonia. Takie makabryczne egzekucje odbywały się najczęściej w Indiach i Tajlandii. Opisy zadeptywania skazańca przez słonia można odnaleźć w historycznych źródłach. Oto jeden z nich, pochodzący z 1823 roku z dzieła pt. *Anegdoty Perrcy'ego*:

Skazańca ułożono na ziemi. Nogi związane mu trzema sznurami i przymocowano je do pierścienia przy zadniej kończynie zwierzęcia stojącego o trzy jardy do przodu. Przy każdym kroku słoń szarpał złoczyńcę niemiłosiernie i po ośmiu czy dziesięciu krokach musiało nastąpić zwichnięcie wszystkich kończyn, a gdy zwierzę pokonało pięćset jardów, ręce i nogi przestępcy były już całkiem połamane i bezwładne. Skazaniec, choć umazany błotem, zdradzał wszelkie oznaki życia i widać było, że cierpi w najwyższym stopniu. Mniej więcej po godzinie znajdował się poza obrzeżem miasta i wówczas słoń dzięki odpowiedniej tresurze cofał się i stawiał nogę na głowie przestępcy.

Darshan Singh wychował się na brytyjskiej katowskiej myśli. W średniowiecznej i renesansowej Anglii rozkwitała forma tortur i egzekucji. Przykłady? Gwałcicieli wieszano za genitalia...

— Pomysłowość brytyjskich katów — zdradził Darshan Singh — pobudzał alkohol. Oni przed egzekucjami obficie

raczyli się takimi napojami. Każdy kat chciał być lepszy od drugiego czy trzeciego...

Singapur został skazany na stosowanie kary śmierci. Gdy był brytyjską kolonią, obowiązywało prawo Królestwa Wielkiej Brytanii. Po uzyskaniu niepodległości kara pozostała. Wielka Brytania zniosła karę śmierci w 1969 roku. Singapur tego nie zrobił i do dziś obowiązują tam brytyjskie przepisy dotyczące stosowania najwyższego wymiaru kary. Zagorzałym zwolennikiem kary śmierci był Lee Kwan Yow, pierwszy premier Singapuru. Podobnie było z jego następcą Goh Chok Tongiem.

Do tego w Singapurze, tym wyjątkowym państwie-mieście, obowiązuje bardzo restrykcyjne prawo według zasady „Człowiek jest — paragraf się znajdzie!”. Kara śmierci grozi za posiadanie minimalnej ilości narkotyków. Dlatego na przestrzeni ostatniego pół wieku Singapur osiągał jeden z najwyższych wskaźników egzekucji na mieszkańca na świecie. W latach 1994–1998 wynosił on trzynaście i osiemdziesiąt trzy setne egzekucji na milion mieszkańców! Przeważnie byli to mordercy, gwałciciele, przemytnicy i handlarze narkotyków.

— Aż dziewięćdziesiąt pięć procent naszego społeczeństwa jest za karą śmierci — niezmiennie odpowiadał Darshan Singh.

Zabicie w imię prawa zawsze służyło czemuś więcej niż tylko wymierzeniu sprawiedliwości. W dawnych czasach, i to wcale nie tak odległych, na publiczne egzekucje przychodziły całe rodziny. Wokół szubienicy sprzedawano lody, ciastka i napoje.

— W takich publicznych egzekucjach — chwali się Darshan Singh — uczestniczył mój dziadek. Lubiłem te jego opowieści spod szubienicy.

Urzędnik od śmierci

On sam, już jako zawodowy kat, z koszmarną dokładnością potrafił opowiadać o poszczególnych etapach bezlitosnego zabi-
jania. Mówił o tym w sposób emocjonalny, jak o sztuce uśmier-
cania. Mógłby być autorem podręcznika dla swoich następców,
jak wykonywać wzorcowe egzekucje. Byłby znakomitym od-
twórcą roli kata w jakiejś bollywoodzkiej produkcji filmowej.
Swoimi opowieściami stworzyłyby teatr jednego kata.

Czy w tych seryjnych morderstwach poznał straszną prawdę
o człowieku? O sobie?

— Jak się czuję, mając krew na rękach? — zwierzał się w ro-
dzinnym gronie. — Tylko to umiem. Z tego mam chleb.

A czego nauczył się i dowiedział, patrząc w oczy skazańcom
w ostatnich chwilach ich życia? Czy znał fragment wielkiej po-
wieści *Zbrodnia i kara* Fiodora Dostojewskiego:

Gdzieś wyczytałem — przypomniał sobie Raskolnikow — jak to
pewien skazany na śmierć na godzinę przed egzekucją, mówi,
czy też myśli, że gdyby przyszło mu żyć gdzieś wysoko, na
szczycie skały, na tak niewielkim skrawku, że ledwie można by
tam postawić stopy — a dookoła przepastne otchłanie, ocean,
wieczny mrok, wieczna samotność i wieczna zawierucha — to
lepsze takie życie niż natychmiastowa śmierć! Byleby tylko
żyć, żyć, żyć! Za wszelką cenę — tylko żyć! Taka jest prawda!

On pewnie nie zna tego fragmentu wielkiej rosyjskiej literatury.
Wiadomo, że temu sympatycznemu starszemu panu nieobce
było okazywanie uczuć. Z drugiej strony swoją pracę traktował
jako misję i wierzył, że czyni to dla wyższej konieczności.

— Wierzę, że kara, którą wykonuję — argumentował — prowadzi do pełnej rehabilitacji skazańca. Dzięki temu w następnym wcieleniu będzie lepszym człowiekiem!

Był człowiekiem bardzo wierzącym. Z islamu przeszedł na sikhizm i wierzył w reinkarnację. Z takim duchowym przesłaniem w każdy piątek rano prowadził skazańców do celi śmierci. Przeważnie byli to mężczyźni. Pod szubienicą wspierał ich, kiedy miękły im nogi. Zawsze dodawał im odwagi.

— To człowiek wielkiej łagodności — zapewniał jeden z jego znajomych. — Szczególną opieką otaczał tych skazańców, których nikt nie odwiedzał.

Lubił żartować. Egzekucje przeprowadzał ubrany zwyczajnie, na sportowo — w T-shircie, szortach i tenisówkach. Ubrany był kolorowo, raczej przypominał klauna. Stąd się wziął jego przydomek „wesoły kat”.

Czasami, kiedy wiedział, że wcześniej skazaniec rzucił na niego klątwę, wkładał na głowę kaptur. Preferował kolor czerwony. Kaptury musiały mieć małe dziurki na oczy, gdyż był przesadną osobą. Kaptur miał chronić przed „złym wzrokiem” traconego, który mógł próbować ściągnąć na niego nieszczęście. Kat obawiał się też, żeby skazaniec za pomocą czarów nie udaremnił egzekucji. Potem zakładał pętlę na szyję skazańca. Zawsze stawał za jego plecami, żeby ten nie widział jego wzroku.

Ilu płakało w ostatnich chwilach?

— Mówiłem im, żeby byli dzielni — wspomina — że zaraz będzie po wszystkim. Powtarzałem, że trzeba się z tym pogodzić. A później szybko pociągałem dźwignię.

Nie było tajemnicą, że z wieloma skazańcami zdążył się zaprzyjaźnić. To były dla niego najtrudniejsze egzekucje. Dlatego

doskonale pamięta ich twarze, błagalny wzrok, imiona, nazwiska, głosy.

— Nigdy nie miałem sennych koszmarów — opowiadał. — Moje ofiary mi się nie śniły. Z jednym wyjątkiem...

Była to piękna kobieta Mimi Wong, skazana za zabicie żony swojego kochanka Japończyka. Powiesił ją w 1973 roku. Podobno był nią zauroczony.

Nie ma śmierci bez bólu

Darshan Singh uważał się za rzemieślnika, który doskonale zna swój fach. Przekonywał, że na swoim koncie nie ma ani jednej spartaczonej egzekucji. Podkreślał, że trzeba wiedzieć, jak wieszać. Tydzień przed wykonaniem wyroku ważył skazańca, żeby dopasować długość spadu. A w dniu egzekucji ważył powtórnie, dla potwierdzenia. Z aptekarską dokładnością przygotowywał długość sznura.

— Zbyt krótki sznur nie przerywa stosu pacierzowego — tłumaczył — co powoduje, że skazany umiera zbyt długo. Podczas gdy przy zbyt długim sznurze skazanemu może urwać głowę, zwłaszcza gdy jest ciężki.

Kilka razy w chwilach szczerości zdradził, że nie ma śmierci bez bólu. Nie pomagają nawet sprawne ręce kata. Nie ma też humanitarnej metody zabijania, która czyni śmierć skazanego spokojną i bezbolesną.

Kilka razy się zdarzyło, że Darshan Singh przyniósł stryczek do domu. Trzymał go w szufladzie i nikomu nie wolno było go dotykać. Czasami w gronie przyjaciół wyjmował go i z dumą pokazywał swoje narzędzie pracy. Kiedyś po wypiciu kilku

kieliszków whisky zaczął demonstrować, jak wiąże się sznur na stryczek. A następnie zawiesił go na szyi żony i pokazywał, jak należy poprawnie go założyć. Małżonka była zszokowana, a po wyjściu gości poprosiła męża, żeby więcej tego nie robił. Innym razem jeden z gości chciał kupić stryczek. Kosztował trzysta dolarów, a gość chciał za niego zapłacić kilka razy więcej. Podobno chciał go wystawić na licytację na cel dobroczynny.

— Zawsze ich goniłam — wspominała żona kata. — Wielu było amatorów zakupienia stryczka.

Kat otrzymywał też propozycje sprzedaży sznura, na którym powieszono skazańca. Za wisielcze powrozy proponowano mu kilka tysięcy dolarów. Od wieków na całym świecie krążą legendy, że kawałek wisielczego sznura przynosi szczęście i gwarantuje długie życie.

— Mąż zawsze odpowiadał — wyjaśniała małżonka — że każdy sznur należał do wisielca i został spalony.

Po każdej egzekucji siedł do klubu Padang na lunch i na partijkę krykieta.

— Może w ten sposób sobie radził — tłumaczyła małżonka — z tym, co czuł. Chciał wyczyścić myśli.

W domu najchętniej relaksował się, oglądając mecze piłkarskie angielskiej Premier League. Był oddanym kibicem Manchesteru United. Wieczorami uprawiał jogę. Tłumaczył, że potrzebuje duchowej siły do wykonywania swojej ciężkiej pracy.

— Wymierzenie surowej kary — przekonywał Darshan Singh — powinno spełniać symboliczną funkcję. Surowość jej powinna być współmierna z rozmiarem wyrządzonej krzywdy.

Wiadomo, że kilka egzekucji obciążało jego sumienie. Jeden z najbardziej kontrowersyjnych wyroków wykonał w 1991 roku. Skazaną była Flor Contemplacion, młoda gospodyni domowa

z Filipin. Wyrok dostała za zabicie koleżanki po fachu, Delii Magi, oraz jej czteroletniego synka. Wielu prawników uważało, że dowody w sprawie były wątpliwe.

Podobne wątpliwości pojawiały się przy każdym wydanym wyroku śmierci za posiadanie narkotyków. Wśród ofiar było wielu cudzoziemców. Jednym z nich był Nguyen Van Tuong, Wietnamczyk z australijskim paszportem z Melbourne. Skazany na karę śmierci za handel narkotykami nie uniknął jej, mimo że jego przypadek trafił do światowych mediów. Został powieszony 2 grudnia 2005 roku.

— Nie do mnie należy ocena wyroków — powtarzał przez lata Darshan Singh. — One nie obciążają mojego sumienia.

Nasycenie zbrodnią

Singapurski kat nie zaprzeczał, że wśród skazańców, którym zakładał pętle, było wielu obcokrajowców — przynajmniej kilkunastu z Europy, dużo więcej z Azji i Afryki. Kulisy singapurskiej turystyki czekają na wyjaśnienia. Legendy krążą o przypadkach, gdy podkładano turystom do bagaży narkotyki z zemsty. Bo turysta wywołał kłótnię w hotelu, bo zawarł znajomość z miejscową kobietą, bo niepochlebnie wyrażał się o ich religii. Ofiary zemsty trafiały na wiele lat do więziennych cel lub przed oblicze kata. Ilu z nich zginęło z rąk Darshana Singha? Ilu niewinnych pozbawił życia? Jednego? Dziesięciu? Odpowiedzią pozostaje milczenie. Milczy Darshan Singh... Milczy singapurskie Ministerstwo Sprawiedliwości... Milczą singapurskie media...

Czy nigdy nie miał skrupułów? Czy świat stał się lepszym miejscem po tysiącu wykonanych przez niego wyroków?

— Nigdy nie mówił, że żałuje tego, co robił — tłumaczy Dželeha Hadži Said. — Dopóki był świadomy, powtarzał, że taka była jego praca. Konsekwentnie od czterdziestu lat.

Dziś ma osiemdziesiąt osiem lat. Rocznik 1932. Katem był przez czterdzieści lat. Jego życie naznaczyła kara śmierci. Tożsamość jego ujawniono w 2004 roku, gdy udzielił wywiadu dziennikowi „The Australian” w związku z wydaniem wyroku śmierci na obywatela Australii za handel narkotykami.

— To była naiwność z mojej strony — przyznał Darshan Singh rok po publikacji. — Mogłem pozostać anonimowy dla opinii publicznej.

Ostatni wyrok wykonał w 2005 roku. Oficjalnie odszedł ze służby więziennej rok wcześniej, a powodem była publikacja wywiadu. Po jego odejściu nie znalazł się nikt chętny do zabijania.

— Próbowałem wyszkolić dwóch kandydatów — opowiadał — Malezyjczyka i Chińczyka, którzy pracowali w więzieniu. Obaj uciekli, kiedy trzeba było pociągnąć dźwignię.

Nie wiadomo, kto od 2005 roku wykonuje kary śmierci w Singapurze. Podobno w 2006 roku były cztery egzekucje. Dane z lat następnych są tajne.

Darshan Singh przeszedł na zasłużoną emeryturę. Od tego czasu nie lubi opuszczać swojego czynszowego mieszkania w wieżowcu na dziesiątym piętrze w dzielnicy Woodlands. Ostatnie lata spędził przykuty do łóżka. Nad łóżkiem wisi jego portret. Na nim widnieje twarz pięćdziesięciolatka o krótko ostrzyżonych srebrnych włosach, w okularach. Z tego zdjęcia bije chłód i królewska godność.

— Często dziadek mnie pyta, kto jest na tym obrazku — opowiada wnuczka Pooja. — I śmieje się swoim bezzębnym uśmiechem.

Nadal chętnie przyjmuje gości, coraz częściej jednak nie jest świadomy, kim oni są. Na jego twarzy rzadko ukazuje się błysk zrozumienia. Gdy pojawia się świadomość, opowiada chaotycznie o sobie. Najczęściej o swoich pasjach, o futbolu i o piątkach, kiedy grywał w krykieta.

— Jakoś nie może zapomnieć tego, co robił w piątki — podkreśla małżonka.

Większość czasu spędza z pilotem w ręku. Świadczy o tym pokaźny brzuch. Siedzący tryb życia sprawił, że zaczął chorować na cukrzycę, nadciśnienie i choroby serca.

W 2010 roku zaczęła mu dokuczać demencja. Coraz trudniej jest mu zachować trzeźwość umysłu. Często się wzrusza. Często też nie poznaje żony i ciągle pyta ją o imię. Kilkanaście razy w ciągu godziny. Małżonka, kilka lat młodsza, jest jego opiekunką. Traktuje go jak jedno ze swoich trojga wnucząt. Wspólnie z mężem wychowali pięcioro dzieci, w tym troje adoptowanych.

— Czasami mąż zachowuje się jak dziecko — zwierza się Dzeleha Hadzi Said. — Nie chce jeść, brać leków ani się wykąpać. Pije tylko coca-colę.

Darshan Singh bardzo lubi sobie nucić swoją ulubioną melodię. Tę samą, którą nucił, wracając do domu po wykonaniu każdego wyroku. Nie jest to żaden religijny hymn, ale refren znany z angielskich piłkarskich stadionów: „Na, na, na, na, hey, hey, say goodbye”. Obiecywał sobie, że po ostatniej egzekucji zanucił ją po raz ostatni. Nie dotrzymał jednak danego sobie słowa. Nie może się rozstać ze swoją pieśnią kata...

Przedmowa do wydania drugiego

NIGDY NIE PRZYSZŁO MI NA MYŚL, że pewnego dnia polecę do Singapuru, napiszę książkę o jego budzącym trwogę głównym kacie i wymiarze sprawiedliwości; że potem trafię do więzienia z wyrokiem za obrazę sądownictwa, z zarzutem o „przestępcze zniesławienie” oraz o wykroczenia objęte *Ustawą o ochronie tajemnic urzędowych*. Aresztowano mnie o wpół do siódmej rano w niedzielę 18 lipca 2010 roku. Czterech funkcjonariuszy Wydziału Dochodzeń Karnych, ubranych po cywilnemu, wpadło o świcie do hotelu, w którym mieszkałem. Nastąpiło to po tym, jak wieczorem poprzedniego dnia ogłoszona została publikacja niniejszej książki. Zostałem wpakowany na dwa dni do aresztu policyjnego, w którym spać można było tylko na betonowej posadzce. Później przez pięć dni z rzędu poddawano mnie przesłuchaniom w osławionej „zimnej sali”, trwającym do dziesięciu godzin. Władze zgodziły się na wpłatę kaucji, ale nie mogłem opuścić Singapuru, ponieważ zabrano mi paszport. W listopadzie 2010 roku skazany zostałem na sześć tygodni więzienia oraz zapłacenie grzywny w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów singapurskich i kosztów sądowych, które wyniosły pięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

W drugim wydaniu książki opisuję kulisy tamtych wydarzeń oraz sposób, w jaki usiłowano dławić moją wolność wyrażania

poglądów. Władze Singapuru potraktowały mnie po barbarzyńsku, co spotkało się z powszechnym potępieniem na całym świecie i o dziwo sprawiło, że ja, nieznany dotąd podróżnik, stałem się sławny, a książka *Był sobie wesoły kat* została bestsellerem! Historia zaczyna się w marcu 2002 roku, kiedy to Singapurska Rada Turystyki zaprosiła mnie, abym napisał parę artykułów mających zachęcić Amerykanów do odwiedzania tego państwa-miasta. Singapurski ptasi park, ogród orchidei, legenda Merliona, historyczne hotele Raffles i Fullerton — wszystko to nie były tematy, które zwykle podejmowałem. Wycieczka trwała zaledwie tydzień, lecz w moim dociekliwym umyśle, znacznie przekraczającym wyobrażenie mojego „opiekuna”, wnet pojawiło się przeczucie, że tak krótki objazd nie pozwoli mi odkryć prawdziwej natury tego bezbarwnego, autorytarnego kraju. Uderzyło mnie, że władze Singapuru kontrolują poddanych w sposób graniczący z perfekcją, którą opisywał w swoich książkach George Orwell. Wszystko było jak na mój gust zbyt sterylne, zbyt efektywne i po prostu za doskonałe. Trochę kojarzyło mi się to z hollywoodzkim filmem *Żony ze Stepford*, którego akcja toczy się w miasteczku w stanie Nowy Jork, gdzie wszyscy i wszystko podlega tajemniczej kontroli. Albo z wykwinutym posiłkiem przyrządzonym przez kucharza, który zapomniał o podstawowym składniku.

Przerzucałem kartki największego singapurskiego dziennika „The Straits Times”, który — o czym rychło się dowiedziałem — nazywany był drwiąco „Straits Jacket” („Kaftan Bezpieczeństwa”) ze względu na to, że skutecznie dławił każdą opinię, która nie uzyskała aprobaty rządzącej Partii Akcji Ludowej. Nagle zacząłem podążać tropem złowrogiego ciągu morderstw, handlu narkotykami i korupcji policyjnej, który brał początek

w państwie-mieście i który niczym wąż wił się przez Holandię, Wielką Brytanię, Australię, Niemcy, Tunezję oraz Pakistan. Także i ja wpadłem w sieć powiązanych z nim dramatycznych wydarzeń. Zaczęło się od tak zwanych morderstw w Orchard Towers. Podejrzanych było dwoje: brytyjski milioner, doradca finansowy, oraz jego chińska dziewczyna; oboje uciekli najpierw do Anglii, a potem do Australii. Mniej więcej w tym samym czasie pewien obywatel australijski nazwiskiem Nguyen Van Tuong miał stanąć przed sądem za handel heroiną i wydawało się nieuniknione, że czeka go kara śmierci. Jego egzekucja wywołała kampanię przeciwko karze głównej w Australii i wielu innych krajach świata. Zagroziła Singapurowi poważnym kryzysem w stosunkach zagranicznych.

Wiele miesięcy później postanowiłem opuścić moje rodzinne Las Vegas, żeby być na bieżąco z obiema tymi sprawami. Chodziło mi również po głowie, by przeprowadzić pierwszy od czasów kolonialnych wywiad z głównym katem Singapuru. Stanowiło to nie lada wyzwanie, ale po miesiącach wytrwałych poszukiwań zdołałem odnaleźć Darshana Singha, człowieka, który ponoć powiesił około tysiąca mężczyzn i kobiet, głównie za zabójstwa i handel narkotykami. Co jeszcze bardziej zaskakujące, skłoniłem go do mówienia. Doprowadziło mnie to do drobiazgowej kwerendy akt i protokołów sądowych, sięgającej wstecz aż do 1963 roku. Jednocześnie przeprowadzałem wywiady ze zwolennikami zniesienia kary śmierci oraz prawnikami biorącymi udział w sensacyjnych procesach, o których media donosiły mało albo wcale. Pozwoliło mi to stworzyć unikatowy szkic makabrycznej kariery człowieka, który jest przypuszczalnie najbardziej wydajnym katem wszech czasów, wierzącym, że Singapur jest jednym z najbezpieczniejszych krajów świata

i że w dużej mierze właśnie on — kat — się do tego przyczynił. Przy okazji odkryłem pewien złowieszczy element: otóż wymiar sprawiedliwości Singapuru działa częstokroć potajemnie, o tym zaś, kto będzie żył, a kto zawiśnie na szubienicy, zadecydować może polityka, biznes i handel międzynarodowy.

Ludzie często zadają mi pytanie — a i ja się nad nim zastanawiam — w jaki sposób i dlaczego się w to wszystko zaangażowałem. Chwilami miałem wrażenie, że napędza mnie tajemnicza, niewidzialna siła. Jednak z drugiej strony, choć wielu może to uznać za absurd, nie wykluczam, że przyczyną mogła być klątwa. Wypowiedziała ją jedna z ofiar budzącej trwogę singapurskiej szubienicy, młody Malezyjczyk Vignes Mourthi, tuż przed tym, jak powiesił go Darshan Singh. Vignes rzucił ją, kiedy brutalnie wyprowadzano go z sali sądowej. Jego obrońca, M. Ravi, podjął ostatnią próbę ocalenia go, a przewodniczący składu sędziowskiego, Yong Pung How, skwitował ją zimno słowami: „Lepiej niech pan się z nim pożegna. Tylko tyle może pan zdziałać”. Ravi powiedział mi: „Ostatni raz widziałem twarz Vignesa, kiedy wyprowadzali go z sali sądowej. W drzwiach odwrócił się do mnie i rzekł: »Rzuciłem klątwę na Singapur. Nigdy nie zapomną, co mi zrobili«”. Rzadko miewam dręczące koszmary, ale w okresie, kiedy zbierałem kluczowe materiały, zaczęły mnie nawiedzać wizje tajemniczych twarzy, pełnych bólu i nierozpoznawalnych. Napierały na mnie, wirowały, osaczały mnie ze wszystkich stron, jakby chciały mnie zadusić, a potem odpływały. Było to coś niepokojącego, czego nigdy wcześniej nie zaznałem. Pewnej nocy rozpaczliwie usiłowałem wybudzić się z takiego snu. Miałem wrażenie, że wsysa mnie wir. Nagle otworzyłem szeroko oczy i trzęsąc się ze strachu, próbowałem odgadnąć, co to wszystko znaczy. Uspokoilem się, zamknąłem

oczy i usnąłem, ale wtedy udręczone twarze znów mnie obiegły i przerażyły. Czy to był „znaczący sen”, podobny do tych, które miewałem czasami w dzieciństwie i które się sprawdzały? Jeśli tak, to jaki był jego sens?

Odpowiedź na moje pytania przyszła nagle. Być może niewiedzące mnie twarze należały do licznych narkotykowych „mrówek” oraz innych nieszczęśników — zdjęcia niektórych zamieszczone są w tej książce — skazanych na karę śmierci. Zawsze miałem ich w pamięci podczas gromadzenia materiałów i mojego procesu. Byli to: Flor Contemplacion — służac-niewolnica, Amara Tochi — nigeryjski chłopak marzący o tym, by zostać gwiazdą piłki nożnej, Shanmugam Murugesu, Angel Mou Pui-Peng, Cheuk Mei Mei, Tsang Kai Mong Elke, Lam Hoi-ka z Hongkongu oraz wielu innych, zwabionych na drogę śmierci przez obrotnych dorosłych cwaniaków, którzy wraz z szefami karteli narkotykowych zawsze unikali kary. Czy były to te same twarze, które przewijały się w moich niepokojących koszmarach? Czy były to wizje ze świata duchów, ponaglające mnie, bym kontynuował walkę o sprawiedliwość dla nich? A może kryło się za tym coś, co swoim ogromem przekraczało wyobraźnię? Tego nigdy się nie dowiemy.

Książka ta nie powstałaby bez nieocenionej pomocy wielu osób. Może najważniejszymi z nich są singapurscy aktywiści praw człowieka i przeciwnicy kary śmierci. Nie jest ich wielu, lecz ich grono stale rośnie. Ci odważni mężczyźni i kobiety częstokroć udzielali mi kluczowych informacji pozwalających odkryć zatajone skandale wymiaru sprawiedliwości związane z egzekucjami wielu osób. Pomogli wyciągać na wierzch to, czego ujawnienia bały się władze, i w ten sposób burzyli starannie pielęgnowany, a zarazem fałszywy wizerunek Singapuru

jako kraju nieskazitelnie czystego. Przrzekłem, że uszanuję ich anonimowość, nie mogę więc wymienić ich wszystkich z nazwiska. Wyjawienie źródeł naraziłoby ich w przyszłości na odwet singapurskich władz, które nie tolerują żadnego sprzeciwu ani krytyki. Mogliby stracić pracę lub nawet trafić do więzienia, co przytrafiło się już wielu i nadal przytrafia. Niektórzy mają małe dzieci, a ja nie chciałbym, by stracili swoje źródła utrzymania, wolność czy marzenia. Los taki stał się bowiem udziałem licznych dysydentów, krytyków i przeciwników władz tego kraju. Ci, którzy z obawy przed odwetem domagali się, abym nigdy nie ujawnił ich nazwisk, mogą spać spokojnie. Pewien wybitny adwokat, chwilę przed wyjściem z ważnego sekretnego spotkania, uścisnął mi dłoń, spojrzał mi w oczy i powiedział: „Nie znam pana. Pan nie zna mnie. Nigdy więcej nie wolno panu się ze mną kontaktować!”. Po czym odszedł. Od tej pory już się nie spotkaliśmy i nie rozmawialiśmy. Są inni, których nazwisk nie mogę podać, choć bardzo bym chciał, w tym byli funkcjonariusze Centralnego Biura Antynarkotykowego (Central Narcotics Bureau). Także i oni, zgodnie z moim przrzeczeniem, muszą pozostać w tej książce anonimowi. Miejmy jednak nadzieję, że kiedyś, w niezbyt dalekiej przyszłości, będzie można ich ujawnić i uhonorować. Niektórych mogę wymienić po nazwisku. W pierwszym rządzie chciałbym podziękować jednemu z niewielu naprawdę dzielnych młodych ludzi: adwokatowi M. Raviemu, nieustraszonemu bojownikowi o prawa człowieka i abolicjonście, który stoczył długotrwałe batalie o ocalenie życia trzech młodych mężczyzn z Singapuru, Malezji i Nigerii. Ulica biegnąca wzdłuż Sądu Najwyższego powinna kiedyś zostać przemianowana na aleję M. Raviego. Chciałbym wyrazić wdzięczność najwybitniejszej postaci ruchu praw człowieka

w Singapurze, mimo że spotkałem ją tylko raz, krótko przed śmiercią. Był nią znakomity prawnik Joshua Benjamin Jeyaretnam, którego przyjaciele i zwolennicy nazywali czule JBJ. Lektura relacji o jego walce o sprawiedliwość i uczciwość, którą toczył przez całe życie, zainspirowała mnie do kontynuowania moich poszukiwań. Dzielną postawą i animuszem, a także przejrzystymi opiniami prawnymi i politycznymi zasłużył na to, by zaliczyć go do prawdziwych bohaterów Singapuru i nadać jego imię którejś z głównych arterii miasta. Na Alexa Au natknąłem się w Internecie dzięki jego blogowi o nazwie „Yawning Bread”, później zaś spotkałem się z nim osobiście i przeprowadziłem szereg ważkich wywiadów. Jemu również pragnę wyrazić moją wdzięczność. To kolejny weteran walki o prawa człowieka i godność, a jego komentarze zawsze były dla mnie wstrząsającymi rewelacjami. Młody aktywista Seelan Palay, któremu także zdarzyło się siedzieć w więzieniu, wydobyl mnie o północy z policyjnego aresztu; później objaśnił mi, w jaki sposób władze zastraszają obywateli, zmuszając ich tym samym do milczenia. Filmowiec Martyn See, inny nieulękły aktywista, także zasługuje na wzmiankę. Wielokrotnie usiłował przedstawiać historię z punktu widzenia opozycji i jakże często spadała nań za to żelazna pięść Lee Kuan Yewa. John Tan, były wykładowca psychologii na Uniwersytecie Johna Cooke’a, został zwolniony przez australijskiego dziekana za to, że poza godzinami pracy wziął udział w pokojowej demonstracji. Dziekan spełnił tajemnicze polecenie figuranta działającego na polecenie władz, jeszcze zanim Tana skazano. To złowrogie wydarzenie obala mit, jakoby w Singapurze istniała na wyższych uczelniach swoboda wypowiedzi, nawet wśród akademików zagranicznego pochodzenia.

Członkowie dwóch kochających rodzin osób skazanych i powieszonych po procesach, w których dowody budziły wątpliwości — w jednej z tych spraw brał udział skorumpowany funkcjonariusz policji — zgodzili się ze mną współpracować i dostarczyli mi porażających informacji. Vasu Mourthi, jego żona i trzy córki zaprosili mnie do swojego domu w Ipoh w Malezji, by pomówić o Vignesie Mourthim, swoim ukochanym synu i bracie. Życie tych porządnych, pracowitych ludzi legło w gruzach po tym, co go spotkało; nigdy nie przestaną opłakiwać jego straty. Obywatele Singapuru zwiesiliby głowy ze wstydu, gdyby mieli pełną wiedzę o tym, w jak brutalny sposób, w ich imieniu, przerwano życie tego człowieka. To samo można powiedzieć o rodzinie Shanmugama Murugesu, jego matce, pani Letchumi Amah, oraz o jego synach bliźniakach, których pomagała wychowywać w Jurong w Singapurze. Pani Letchumi i ci dwaj dzielni młodzi ludzie po tym, jak dotknęła ich żałoba, odważnie przyłączyli się do protestów upamiętniających rzesze ofiar, które także zginęły na szubienicy.

Holenderski społecznik Guus van Bladel, który w czasie aresztowania Marii Krol-Hmelak mieszkał na stałe w Singapurze, został wyznaczony jako jej obrońca; uczestniczył w rozprawach i wolno mu było regularnie odwiedzać ją w areszcie. Prowadził dziennik, zapraszał mnie do swojego domu w Melace, a nawet pozwalał mi nagrywać to, co działo się na sali sądowej i podczas odwiedzin w celi. Był to nadzwyczajny przywilej dla kogoś, kto mógł dostać karę śmierci. Margaret John z Amnesty International Canada udzieliła mi mnóstwa nader pożytecznych informacji, które potwierdzały wiele innych, zdobytych w toku moich własnych poszukiwań. Czuję się zobowiązany oddać hołd wszystkim wspomniałym ludziom, którzy przyszl mi w sukurs po

moim brutalnym aresztowaniu 18 lipca 2010 roku. Byli to przedstawiciele Amnesty International: Louise Vischer, Lance Lattig, Margaret John (wymieniam ją po raz drugi); aktywista praw człowieka Mickey Spiegel z Nowego Jorku; Heather Blake i Vincent Brossel z organizacji Reporterzy bez Granic w Londynie i Paryżu; Jonathan Heawood, dyrektor angielskiego PEN Clubu; pisarka i członkini PEN Clubu Victoria Glendinning, która odwiedziła mnie w Singapurze, przywołując wyrazy wsparcia; lord Anthony Lester, który wraz z Heather Blake włączył moją sprawę do debaty o karze śmierci w brytyjskiej Izbie Lordów. Pragnę również wspomnieć prawnika i międzynarodowego działacza praw człowieka Boba Amsterdama oraz innych, którzy wspinałomyślnie i bezinteresownie wspierali na odległość M. Ravięgo, dostarczając ważnych argumentów prawnych świadczących na moją korzyść: Bena Silverstone'a, Parvaisa Jabbara i Saula Lehfreunda. Saul i Parvais, współzałożyciele i główni dyrektorzy Death Penalty Project, stowarzyszenia działającego przy kancelarii Simons Muirhead & Burton Solicitors w Londynie, są zarazem czołowymi ekspertami w dziedzinie przestrzegania praw człowieka i stosowania kary śmierci. Pragnę podziękować setkom Singapurczyków i Brytyjczyków, którzy przysyłali mi wyrazy wsparcia; szczególnie jestem wdzięczny za dobroć i gościnność, której udzielili mi Justine Burley i jej mąż Alan oraz dwóm innym ofiarom represji politycznych: Teo Soh Lung, autorce książki *Beyond the Blue Gate*, oraz jej przyjaciółce, drugiej „marksistowskiej konspiratorce”, Wong Souk Yee; obie były torturowane w więzieniu. Jestem również wdzięczny za nieustrudzoną kampanię w mojej obronie po moim aresztowaniu, prowadzoną przez Kristinę Stockwood na forum organizacji International Freedom of Expression Exchange (IFEX). Muszę